



Rafał Parol

# Uzasadnione *niepokoje*

**M**IESZANE UCZUCIA TOWARZYSZYŁY MI W CZASIE OGŁASZANIA WYNIKÓW ostatnich wyborów samorządowych. Podejrzewam zresztą, że podobnie jak sporej części społeczeństwa. Początkowo na mojej twarzy malowało się jedynie zdziwienie, które szybko zastąpił ironiczny uśmiech i poczucie, że nic w naszym kraju nie może już zostać przeprowadzone i wykonane sprawnie. Wraz z upływem kolejnych dni sytuacja zaczęła wydawać się coraz bardziej absurdalna i groteskowa. Po prostu skecz grupy Monty Pythona obserwowany na żywo. Wreszcie po tygodniu oczekiwania poznaliśmy oficjalne wyniki wyborów. I wtedy nikomu nie było już do śmiechu – mnie również nie. W głębi duszy zacząłem odczuwać narastający niepokój. A jego powodem nie były nawet same wyniki, bo mimo wszystko cały czas trudno je traktować poważnie. Mój niepokój związany był z reakcją naszych władz, której nie spodziewałem się ani ja, ani chyba nikt inny. 16 listopada 2014, a właściwie nawet nie wtedy, a niecały tydzień później, spora część Polaków została odarta ze złudzeń. Okazało się bowiem, że zmiany systemowe w Polsce w najbliższym czasie nie będą mogły zostać po prostu wprowadzone. One będą musiały zostać wywalczone. Bo potwierdziło się, że system jest jednak bytem osobowym i ma swoją własną świadomość. Nie chce zmian, nie pasują mu. I będzie się przed nimi bronił.

Czy dziś obywatel może jeszcze mieć zaufanie do instytucji wyborów, które stanowią fundament demokracji? W którą stronę zmierza nasza demokracja?



Wydawałoby się, że Polska jest krajem, w którym instytucja demokracji ma szczególne znaczenie. Co roku świętujemy rocznicę uchwalenia naszej pierwszej konstytucji. Ostatnio elity okrągłostołowe wszem i wobec zachęcają nas również do świętowania rocznicy pierwszych „częściowo wolnych” wyborów. Pomysł zdecydowanie kontrowersyjny, dla sporej części społeczeństwa zgoła śmieszny, jednak to temat na zupełnie odrębne rozważania. Jakby na to nie patrzeć, podkreśla on jednak w jakiś sposób rolę i rzekomą wartość instytucji demokracji w naszym społeczeństwie. Wiele osób, jak do tej pory, wyrażało przekonanie, że co jak co, ale w Polsce nie manipuluje się wynikami wyborów. Że nie są one fałszowane, przekłamywane ani – jak to określił Leszek Miller – „wypaczane”. Że polityka w naszym kraju jest uprawiana wedle pewnego, choćby minimalnego, zestawu powszechnie przestrzeganych reguł. Dziś takie myślenie należy uznać za wyjątkowo naiwne. Dziś trzeba uznać, że istotnie nie ma już nic pewnego, poza wymienionymi przez Benjamina Franklina śmiercią i podatkami.

Podsumujmy pewne fakty. Zliczenie wszystkich głosów zajęło około tygodnia, czyli przynajmniej kilka razy dłużej niż zwykle. Rzeczą oczywistą jest, że im bardziej proces zliczania głosów jest rozciągnięty w czasie, tym większe powstaje pole do ewentualnych nadużyć, z uwagi na fizyczną i techniczną niemożliwość sprawowania stałej i nieprzerwanej kontroli nad wspomnianym procesem. Aplikację, która miała służyć do przekazywania wyników, można było ściągnąć z Internetu. Można tam było również znaleźć jej kod. Program zawierał ewidentne błędy, co skutkowało takimi sytuacjami, jak ta w Szczecinie, gdzie zwycięzcą lokalnych wyborów ogłoszona została osoba, która nawet nie startowała. Wnioskować można więc, że aplikacja nie została wcześniej nawet należycie przetestowana, skoro takie błędy ujawniły się dopiero podczas wyborów. Udostępnienie samej aplikacji, jak i jej kodu, było również sporym ułatwieniem dla każdego, kto chciałby wykorzystać błędy w aplikacji do modyfikacji wyników wyborów. Strona internetowa PKW została

## ZLICZENIE WSZYSTKICH GŁOSÓW ZAJĘŁO OKOŁO TYGODNIA – PRZYNAJMNIEJ KILKA RAZY DŁUŻEJ NIŻ ZWYKLE. TO OCZY- WISTE, ŻE IM BARDZIEJ TEN PROCES ROZCIĄGA SIĘ W CZASIE, TYM WIĘKSZE POWSTAJE POLE DO EWENTUALNYCH NADUŻYĆ

zaatakowana, a loginy i hasła pracowników wykradzione. Ze względu na dość powszechną tendencję do używania tych samych loginów i haseł w wielu systemach i na wielu witrynach należy w związku z tym liczyć się z ryzykiem włamania również na serwery zliczające głosy, nawet jeśli miały one funkcjonować w logicznie odrębnej sieci.

Ostateczny odsetek głosów nieważnych w poszczególnych województwach sięgnął rekordowo wysokich poziomów, a jego zróżnicowanie na obszarze Polski wydaje się być dziwnie skorelowane z tym, która partia triumfowała w poszczególnych regionach. Co więcej, przegłosowane w 2011 roku zmiany w kodeksie wyborczym oznaczają, że nie ma dziś nawet obowiązku klasyfikowania głosów nieważnych według przyczyn ich nieważności, a zatem pozostają one poza jakąkolwiek kontrolą.

Wyniki oficjalne różniły się znacząco od wyników sondażowych jedynie w przypadku dwóch partii – głównej partii opozycyjnej (oczywiście na jej niekorzyść) oraz jednej z partii koalicyjnych (oczywiście na jej korzyść), o której

od lat wiadomo, że posiada w terenie największą liczbę najbardziej zdyscyplinowanych działaczy lokalnych. Co więcej, w Internecie ukazały się również doniesienia, że w niektórych urzędach pracowników otwarcie „zachęcano” (metodą kija i marchewki) do głosowania na jednego ze znanych polityków partii rządzącej.

Wydawało się jednak, że władza nie będzie chciała dodatkowo nadwyręzać i tak już mocno nadszarpniętego do niej zaufania. Wydawało się, że będzie przynajmniej udawać, że wolne wybory, czyli fundament całego systemu demokratycznego, stanowią dla niej na tyle dużą wartość, by przynajmniej rozważyć możliwość przekłamania wyników i przeanalizować zastrzeżenia zgłaszane przez znaczną część wyborców. Nawet jeśli w tuszowaniu afer i skandali partia rządząca osiągnęła już poziom iście mistrzowski. Niestety – tego typu myślenie okazało się kolejną daleko posuniętą naiwnością.

Prezydent Komorowski uznał, że poddawanie w wątpliwość oficjalnych wyników wyborów, mimo wszystkich



wymienionych wcześniej zastrzeżeń, to nic innego, jak tylko pogrążanie się w „odmętach szaleństwa”. Nawet jeśli w analogicznej sytuacji – podczas wyborów na Ukrainie – wyrażał zdanie zgola odmienne.

Uznano też, że osobom, które w ramach wyrażenia swojego sprzeciwu – z uwagi na wystąpienie oczywistych nieprawidłowości w procesie zliczania głosów – protestowały w siedzibie Państwowej Komisji Wyborczej, nie należy się żadne zrozumienie. Zarzuty postawiono nawet relacjonującym protest dziennikarzom. Teoretycznie doprowadzono za to do podania się do dymisji wszystkich członków PKW, którzy niewątpliwie ponoszą odpowiedzialność za całe to zamieszanie. Ale tylko teoretycznie, bo dziś już okazuje się, że najprawdopodobniej jeden z nich zostanie nominowany przez prezydenta do ponownego pełnienia tej funkcji.

Uderza brak szacunku do przeciętnego obywatela prezentowany przez przedstawicieli obu partii rządzących, jak i zaprzyjaźnionych z nimi medialnych klakierów. Ale być może jeszcze bardziej uderzający jest dysonans poznawczy, którego powinien w tym momencie doznać każdy obserwator polskiego życia politycznego. Oto Platforma Obywatelska, partia, która niejednokrotnie starała się podkreślać jakość swoich kadr (przypomnijmy sobie chociażby słowa Donalda Tuska o budowaniu przez niego politycznej FC Barcelony), partia, która lubi szczycić się zagranicznym wykształceniem czy doświadczeniem zawodowym swoich przedstawicieli (popatrzmy chociażby na marszałka Sikorskiego czy byłego ministra Rostowskiego), partia, która swoją propozycję

programową miała kierować do tzw. „młodych, wykształconych, z wielkich ośrodków”, całkowicie ignoruje stricte naukowe i merytoryczne przesłanki, nakazujące z większą ostrożnością podchodzić do wyników wyborów, o których pełnej wiarygodności sama zapewnia. Bo prawdopodobnie nie znajdzie się w Polsce żaden szanujący się programista czy audytor bezpieczeństwa systemów informatycznych, który ręczyłby za poprawność i integralność procesu zliczania wyników za pomocą wykorzystywanej aplikacji. I podobnie ciężko będzie znaleźć jakiegokolwiek szanującego się statystyka, który uzna, że rozkład głosów nieważnych na obszarze naszego kraju w wyborach samorządowych, tych i poprzednich, nie budzi żadnych jego wątpliwości i nie wymaga głębszej analizy.

To, czy akurat wyniki tych wyborów zostały faktycznie sfałszowane i w jakim stopniu, nie jest też w tym momencie najważniejsze. Prawdopodobnie nie uzyskamy na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Ważne jest natomiast to, że obecna władza nie dopuszcza nawet możliwości prowadzenia na ten temat jakiegokolwiek poważnej i merytorycznej dyskusji. A skoro nie ma ochoty rozmawiać nawet o najbardziej oczywistych nieprawidłowościach, to stwarza tym samym wrażenie, że może mieć coś na sumieniu. Dziś każdego inteligentnego człowieka powinien zaniepokoić następujący ciąg wydarzeń: uchwalone 3 lata temu co najmniej dziwne zmiany w kodeksie wyborczym, ułatwiające członkom komisji wyborczych ewentualne manipulowanie wynikami, osobliwy rozkład głosów nieważnych w ostatnich wyborach oraz poważne utrudnienia w samym procesie zliczania wyników, a w końcu – w ostatnich dniach – zablokowanie przez partie koalicyjne ustawy mającej zapobiec podobnym problemom w przyszłości. Trudno też w świetle tego wszystkiego nie zadać sobie pytania, czy niektóre z dotychczas przyjmowanych za pewnik „oczywistości” związanych ze zliczaniem wyników są na pewno takie oczywiste? Czy fakt, że w wyborach prezydenckich w 2010 roku oraz w ostatnich eurowyborach wyniki częściowe zmieniały się stopniowo na niekorzyść głównej partii opozycyjnej lub jej kandydata, można tłumaczyć

tylko i wyłącznie mniejszym poparciem dla opozycji w dużych komisjach wyborczych, znajdujących się w miastach, z których protokoły spływają na samym końcu? Dotychczas takie wyjaśnienia zdawały się mieć sens i nie były przez nikogo podważane. Dzisiaj nie wiadomo, czy należy cokolwiek przyjmować za pewnik.

Każda osoba o prawdziwie liberalnych i wolnorynkowych poglądach, niepopierająca obecnego obozu władzy, znalazła się w tym momencie w trudnej sytuacji. Dotychczas, nawet jeśli przejęcie władzy przez jakąkolwiek partię opozycyjną wydawało się być dalekie od realizacji, można było żywić nadzieję, że od upragnionych reform dzieli nas jedynie czas – któreś kolejne wybory po nieuchronnie zbliżającym się kryzysie finansów publicznych i towarzyszącej mu zmianie nastrojów społecznych powinny bowiem przecież przynieść zmiany na najwyższych szczeblach władzy. Jeśli do kogoś przemawiała np. retoryka publicysty Rafała Ziemkiewicza i czuł się „dojony” przez obecny system państwowy, mógł liczyć, że w przyszłości może się to wszystko zmienić. Dzisiaj nie można oprzeć się wrażeniu, że grupa „dojących” postanowi utrzymać swoją pozycję za wszelką cenę, niezależnie od tego, jakie będą nastroje społeczne czy wyniki wyborów. Znany austriacki pisarz Erik von Kuehnelt-Leddihn w swojej książce *Demokracja – opium dla ludu* stawiał hipotezę, że demokracja może bardzo szybko przerodzić się w tyranię większości (a w skrajnych przypadkach nawet mniejszości) nad resztą społeczeństwa. Warto zadać sobie dziś pytanie, czy hipoteza ta nie potwierdza się czasem na naszych oczach...